

TO NIE JEST,  
DO DIABŁA,  
**LOVE**  
**STORY**



JULIA BIEL

TO NIE JEST,  
DO DIABŁA,  
LOVE  
STORY

*Skin Deep*

Media Rodzina

Text copyright © 2021 by Julia Biel  
Copyright © 2021 for this edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt okładki  
Radosław Stępniaik

Zdjęcie na okładce  
Shutterstock

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Niniejsza książka jest dziełem fikcyjnym. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

ISBN 978-83-8008-947-1

Książkę wydrukowano na papierze Lux cream 80g 2,0  
dostarczonym przez Zing Sp. z o.o.

Media Rodzina Sp. z o.o.  
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań  
tel. 61 827 08 50  
wydawnictwo@mediarodzina.pl  
www.mediarodzina.pl

Łamanie  
Radosław Stępniaik

Druk  
Abedik

*Dziewczynom,  
które rzuciły mnie na głęboką wodę,  
i Chłopakowi,  
który mnie wyciągnął.*





rozdział I

# ALEKS

Palant Ikoniec <aleks.sokole.oko@gmail.com>  
To: Marcin Biernat <marcin.biernat@yahoo.com>  
Sent: Saturday, March 28, 20... 7:00 AM  
Subject: Happy birthday to me

Cześć, Tato!

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin — ode mnie... dla mnie. Szkoda, że Cię tu nie ma.

Pozdrawiam Cię... Chociaż wiesz co? Jednak nie.

Jednak Cię nie pozdrawiam.

Aleks

Gniew to cenny kapitał. Kiedy człowiek budzi się z myślą, żeby coś rozwalić, dobrze gdy ma pod ręką worek treningowy.

Jeśli go nie masz, zawsze możesz pobiegać z nadzieją, że znajdzie się ktoś, kto zasłuży na to, żeby mu przywalić. Nad jeziorem Malta zwykle trafi się jakiś cham, który nie posprząta po psie, albo rowerzysta, który nie patrzy na drogę. Miałem ochotę powiesić na smyczy jakiegoś kundla albo sprzedać kopa tylnemu kołu czyjś górala. Albo chociaż kolarzówki.

Wyuczonymi ruchami wciągnąłem ciuchy do joggingu i odruchowo narzuciłem na siebie bluzę z długim rękawem, choć byłem tak nabuzowany, że spokojnie wystarczyłyby tylko T-shirt. Pieprzyć to, chciałem jak najszybciej znaleźć się na dworze i wreszcie spuścić trochę pary.

Biegając wzdłuż jeziora Malta, usiłowałem dojść do siebie. Oddychaj, Aleksie. Urodziny są preroklowane, nawet dwudzieste pierwsze. Przecież miałeś ich już dwadzieścia i zawsze kończyły się z identycznym skutkiem — żyłeś dalej.

Wdech, wydech.

Opel obiecał ściągnąć wieczorem chłopaków z roku, co oznacza, że dzień nie będzie całkiem stracony. A to, że do końca życia dzień moich urodzin będzie moim prywatnym piekielkiem, to już szczegół. W końcu każdy ma swoją traumę, prawda? Traumą, fobię, nerwicę, łamliwe paznokcie, słabo oprocentowaną lokatę.

Szybko odnalazłem właściwy rytm. Organizm miękko przeszedł w znajomy tryb treningowy i pchał teraz do



upragnionego wysiłku serce, płuca i nogi. Wbiłem wzrok przed siebie. Może jakimś rozwiązaniem byłoby się po prostu z kimś zderzyć, ale jak na złość godzina ósma w sobotę fundowała mi zerowe towarzystwo.

Chociaż... W oddali, jakieś trzydzieści metrów przede mną zobaczyłem szarpaninę. Jedna postać stała jakby przygarbiona z boku ścieżki, podczas gdy dwie inne usiłowały coś sobie wyrwać. Po chwili garbus albo raczej garbuska wkroczyła do akcji i zaczęła się kotłowanina. Mimowolnie zwolniłem kroku, starając się ocenić sytuację. Facet. Jakiś facet i kobieta szarpali za ubranie dziewczynę, a ona walczyła jak... furia. Jak furia z kibolami pod stadionem.

Nagle gość zerwał z niej kurtkę, popchnął dziewczynę na asfalt i truchtem zwycięzcy oddalił się wraz z drugą postacią w stronę kolejki Maltanki. Dziewczyna na asfalcie nie wstawała.

Zwietrzyłem swoją szansę i przyspieszyłem.





rozdział 2

# WERA

Przeczytałam gdzieś, że życie składa się z przypadków ze skłonnością do upadków. Nie wiem, skąd teraz ta myśl wzięła się w mojej głowie, ale gdy raz się pojawiła, nie dawała o sobie zapomnieć. Siedziałam w marcowy poranek na ławce nad Maltą i po raz zyliardowy łamałam sobie głowę nad tym, jak jedna wypadkowa decyzji i działań mojej rodziny skończyła się dla mnie przypadkową katastrofą i naznaczyła mnie na całe życie.

Wypadek sprzed wielu lat doskonale układał mi życiorys i rzutował na wszystkie moje decyzje.

Marianna wpadła do mnie z radosną wieścią, że jej agent widziałby mnie w agencji modelek. Jasne. Musiałam odmówić.

Babcia postanowiła rozdzielić między Jodę i mnie kreacje ze swojej młodości — ostatecznie przypadły mi w udziale tylko dwie suknie z długim rękawem.

Cała klasa już teraz umawiała się na ostatnie wakacje przed pójściem na studia: na tydzień szaleństw na plaży, diety alkoholowej i całonocnych imprez. Doskonale wiedziałam, że nie nadaję się na ten wypad. Mogłam zapisać się najwyżej na obóz szachowy albo ewentualnie surfingowy, gdzie byłabym po szyję zapięta w piankę neoprenową.

Gdybym grała w szachy albo uprawiała surfing.

A tak uprawiałam jedynie marcowe trucie własnej dupy. Nad Maltą. W Poznaniu.

Westchnęłam ciężko i zsunęłam się z ławki, rozważając, czy powinnam wrócić do domu, żeby zakuwać do matury jak grzeczna dziewczynka, za którą wszyscy mnie uważali, czy poszwendać się jeszcze trochę ścieżką dla biegaczy. A gdyby tak podstawić komuś nogę? Ciekawe, czy tylko mnie w tym miejscu ogarniały takie głupie myśli. Ech, powinnam wziąć na spacer Marę, przynajmniej zrobiłabym coś sensownego, a nie tylko zadawała szyku w skórzanej kurtce od Elli.

Ella to (aktualnie była) dziewczyna mojego niepoprawnego brata (choć w ich przypadku trudno nadażyć, jaki mają status — schodzili się już i rozchodzili jak w brazylijskiej telenoweli). Podarowała mi tę kurtkę na święta. Czy raczej mi ją odstąpiła. Była śliczna (i Ella, i kurtka), obłądna, twarzowa i zdecydowanie moja najulubieńsza, jak powiedziałby mój ośmioletni brat Antek. Ella też ją uwielbiała, ale do czasu. W grudniu ktoś ją zaatakował, gdy miała na sobie tę kurtkę, i ciachnął nożem górną część rękawa. Odtąd jej nie nosiła, a ja przygarnęłam kurtkę z wdzięcznością. Nigdy

nie mogłabym sobie pozwolić na ubranie firmy Pepe Jeans, więc tym bardziej nie posiadałam się ze szczęścia. Poza tym kolejna warstwa mojej cebulkowej egzystencji mogła mnie tylko cieszyć.

Miałam warstwy jak Shrek.

Wróciłam myślami do Jonasza i Elli, która wkrótce zamierzała wyciągnąć na dwa tygodnie do Stanów mojego rok młodszego brata. Brata młodszego jedynie na papierze, bo od zawsze zachowywał się jak mój ojciec. Jonasz zwariował na punkcie Elli, idiota. Chciał polecieć za nią na wesele jej kuzynki, chociaż ona miała go gdzieś. Nie mam pojęcia, jak zdołała zawrócić Jonaszowi w głowie, nie znałam go takiego, ale skrycie zazdrościłam Elli tego, jak umiejętnie owinęła go sobie wokół palca.

Jak słodką gumę do żucia wielokrotnego użytku.

Ja mogłam jedynie pomarzyć o tym, że jakiś facet rzuci dla mnie wszystko i powie: „Bierz mnie. Cały jestem twój”. Zaśmiałam się na samą myśl. Zwykle taki scenariusz zakładał, że trzeba było dać coś w zamian, a tu zaczynały się schody. Bo w moim przypadku nie mogło być mowy o żadnym „w zamian”. W sumie Igor powinien zostać ogłoszony świętym za to, że ze mną wytrzymał. Nawet ja miałam duże problemy, żeby dawać sobie radę ze sobą, a przez tyle lat mogłam się już do tego przyzwyczaić.

Otuliłam się szczerzej ukochaną kurtką, która była zbyt cienka na wiosenną pogodę, i zastanawiałam się, dokąd właściwie idę i po co. Ścieżka prowadziła wokół jeziora i gdybym chciała, mogłabym nią tak chodzić do śmierci niczym kulka

w ruletce, która kręci się w kółko i marzy, żeby dla odmiany stać się kulką w automacie do gier i wyskoczyć poza tor.

Głupia, naiwna kulka.

Jezu, było zdecydowanie za wcześnie i zdecydowanie za zimno i jak widać, zamarzał mi mózg.

— Wyskakuj z kurteczki, dziewczynko! — zawołał nagle ktoś za moimi plecami.

Zawirowałam, wyrwana ohydny chrapliwym głosem z wymiany myśli między dwiema półkulami mojej zrytej czachy.

To się nie działo naprawdę. Czy ktoś serio usiłował ukraść mi kurtkę? Może ten ciuch był przeklęty?

Głos miał szpary zamiast oczu, zepsute zęby i brodeę sięgającą połowy klatki piersiowej.

— Zimno mi — oświadczyłam, udając, że jestem pewna siebie jak moja siostra bliźniaczka Jagoda.

— Wyskakuj z tej ślicznej kurteczki, bo moja panna ma marzenie.

Dopiero teraz zawężona perspektywa rozszerzyła mi się na postać obok brodacza — zziębniętą nastolatkę o tłustych blond włosach i zamglonym spojrzeniu.

Zrobiłam to, czego nigdy nie wolno robić na widok psów i bandytów.

Odwróciłam się na pięcie i rzuciłam biegiem przed siebie.

Nie patrzyłam, dokąd uciekam. O ósmej rano w chłodną sobotę nad Maltą nie było żywej duszy, chociaż miałam świadomość, że prędzej czy później natknę się na jakiegoś

biegacza, rowerzystę albo rolnika. Dlaczego, dlaczego nie zabrałam Mary?! Musiałam po prostu do kogoś dobiec, najlepiej do kogoś z pałą policyjną, paralizatorem, rottweilerem albo chociaż szczerliwie spanikowaną chichuahua.

Zepsutozęby brodacz szybko mnie dogonił, pewnie nogi miał mniej zepsute niż uzębienie. Chwytał mnie za kołnierz grafitowej kurtki i pociągnął w tył, aż się zatoczyłam i odbiłam od niego jak piłka. Nie czekając, aż dojdę do siebie, wprawnym ruchem złapał za mój rękaw, ale ja kopnęłam go w kolano. Oddał mi kopniakiem w biodro. Tymczasem jego gwiazda o tłustych włosach dopadła do mnie z drugiej strony i pazurami zaczęła dobierać się do mojego ubrania. Wierzgałam i próbowałam się bronić, ale czułam tylko uderzenia pazurów i twardych butów.

— Aaaaaaaa! — wrzasnęłam bardziej z frustracji niż z bólu.

To jakiś koszmar! Nie mogłam uwierzyć, że para meneli uparła się na skórę od Elli! (To był rozpaczliwy rym!) Zablockowałam czyjeś uderzenie, ale druga para rąk chwyciła dół mojej kurtki razem z golfem pod nią i pociągnęła z całej siły.

Nie, nie, nie, nie! Czułam, jak w ułamku sekundy na czoło występują mi krople potu, a wraz z odgłosem darcia cienkiego materiału ciało zaczyna drżeć. Natychmiast przestałam się bronić i uwolniłam ramiona ze skórzanej kurtki, po czym przewróciłam się w tył. Zadowoleni napastnicy z okrzykami triumfu uciekli jak szczury kanałem.

Leżałam na ścieżce, wstrząsana napadami śmiechu. Moje nagie plecy dotykały asfaltu, a omdlałe od walki dłonie ze

wstydu zakrywały oczy. Nie wstaję. Będę tak leżała, dopóki nie obudzę się z tego koszmaru albo nie przejedzie mnie jakiś łaskawy rower. Albo chociaż hulajnoga.

Nagle usłyszałam rytmiczne i szybkie uderzenia czyichś butów. W porządku, w ostateczności mogłam też zostać zdeptana przez jakieś buciory. Byle duże.

Przyciskałam pięści do oczu, nie przestając nerwowo się śmiać. Buty dopadły do mnie, a ich właściciel przemówił:

— To śmiech, uff, myślałem, że masz padaczkę.

Odsunęłam ręce i uśmiech zamarł mi na ustach.

— Jake?

Musiałam zemdleć i śnić.

— Okej, za to jesteś w szoku. — Ktoś, kto wyglądał jak Jake Gyllenhaal w fazie z koczkim na czubku głowy, w ułamku sekundy ocenił sytuację. — Zaraz ich dogonię, ale jesteś prawie naga, musisz wstać z ziemi.

Zanim zdążyłam zareagować, pewnym ruchem wsunął ramiona pod moje plecy, żeby mnie unieść. Moje ciało natychmiast się spięło.

— Nie dotykaj mnie, zabieraj łapy! — zaskrzeczałam na fali panicznego strachu.

Musiał je poczuć.

Musiał je poczuć, musiał je poczuć, musiał je poczuć.

W jednej chwili zdołał się zorientować — dostrzegłam to w błysku jego szarych oczu. W panice jeszcze mocniej przywarłam plecami do asfaltu i skrzyżowałam przedramiona na piersi jak Wonder Woman. Horyzontalna Wonder Woman.